

Kiedy Matthew Arnatt po raz pierwszy zobaczył chmurę śmierci, unosiła się ona na wysokości okna na pierwszym piętrze domu stojącego w pobliżu miejsca, w którym mieszkał.

Kręcił się właśnie po High Street w handlowym Farnham, szukając owoców lub kawałków chleba, które upuścili nieuważni przechodnie. Powinien był przepatrywać ziemię pod nogami, ale wciąż spoglądał w górę na domy, sklepy i tłoczących się wokół niego ludzi. Miał zaledwie czternaście lat i, o ile pamiętał, nigdy wcześniej nie był w tak dużym mieście. W tej zamożnej dzielnicy Farnham starsze domostwa z drewnianym belkowaniem pochylały się ku sobie, a ich górne piętra wisiały nad przechodzącymi poniżej niczym ciemne obłoki.

Ulica była częściowo brukowana kocimi łbami, ale w pewnej odległości bruk ustępował miejsca klepisku, z którego końskie kopyta i koła przejeżdżających z łoskotem wozów wzbijały kłęby pyłu. Co kilka jardów przy drodze leżał kopiec końskiego nawozu, czasem jeszcze parującego, z unoszącą się nad nim chmarą much, a czasem starego i wyschniętego, który wyglądał jak zbity kłęb trawy czy siana.

Matthew czuł ostrą woń ciepłego nawozu, ale dolatywał go też zapach świeżego chleba oraz chyba wieprzowiny pieczonej na ruszcie nad dużym ogniem. Oczami wyobraźni ujrzał tłuszczyk kapiący i skwierczący w płomieniach. Żołądek ścisnął mu się z głodu tak mocno, że chłopiec niemal zgiął się wpół od nagłego bólu. Już od kilku dni nie miał w ustach porządnej strawy. Nie był pewien, jak długo jeszcze wytrzyma.

Jeden z przechodniów, baryłkowaty jegomość w brązowym meloniku i ciemnym, znoszonym ubraniu, przystanął i wyciągnął do niego rękę, jakby chciał mu pomóc.

Matthew cofnął się. Nie chciał żadnej dobroczynności. Dobroczynność oznaczała przytułek, gdzie trzeba pracować, albo sierociniec, a on nie chciał wchodzić na ścieżkę prowadzącą do żadnego z tych miejsc. Da sobie radę sam. Musi tylko znaleźć coś do jedzenia. Kiedy coś zje, wszystko będzie dobrze.

Zanim jegomość zdążył położyć mu rękę na ramieniu, Matthew umknął przed jego dłonią, a potem zawrócił i skręcił w boczną uliczkę, tak wąską, że górne piętra domów niemal się nad nią stykały. Gdyby ktoś miał ochotę, mógłby przejść ze swojej sypialni wprost do mieszkania sąsiada.

I właśnie w tej chwili ujrzał zabójczą chmurę. Wtedy jeszcze nie wiedział, co to takiego, o tym miał się przekonać później. Dostrzegł tylko ciemną plamę wielkości dużego psa, która wylewała się z otwartego okna jak dym, ale dym obdarzony własną wolą. Chmura zatrzymała się na chwilę, po czym skierowała w bok ku rynnie, gdzie skręciła i zaczęła wspinać się w stronę dachu. Zapomniawszy o głodzie, Matthew patrzył z otwartymi ustami, jak obłok przelewa się przez ostrą kalenicę i znika mu z pola widzenia.

Ciszę przerwał krzyk – płynący z otwartego okna – a wtedy chłopak odwrócił się i pognał ulicą tak szybko, jak tylko pozwalały mu patykowate nogi. Nikt nie krzyczałby tak z zaskoczenia. A nawet ze wzburzenia. Nie, z tego co wiedział Matthew, tak można krzyczeć tylko w śmiertelnym strachu o własne życie, a z tym, co wzbudziło ów strach, za nic nie chciałby stanąć oko w oko.

Rozdział 1

– Ty tam! Podejdź tu!

Sherlock Holmes odwrócił się, by zobaczyć, kto woła i kogo. Tego słonecznego ranka przed szkołą dla chłopców w Deepdene stały setki uczniów, każdy w nieskazitelnym szkolnym mundurku i z opasanym rzemieniem kuferkiem albo górą bagażu leżącą obok niczym przekarmiony, wierny pies. Wołanie mogło dotyczyć któregośkolwiek z nich. Nauczyciele z Deepdene nigdy nie zwracali się do uczniów po imieniu – zawsze mówili tylko: „Ty!”, „Chłopcze!” albo „Dziecko!”. Utrudniało to życie i wymagało ciągłej czujności, co zapewne było celem nauczycieli. A może po prostu pedagodzy już dawno temu zrezygnowali z zapamiętywania nazwisk uczniów. Sherlock nie miał pewności, które wytłumaczenie jest bardziej prawdopodobne. Może oba.

Poza nim żaden z chłopców nie zwrócił uwagi na wołanie. Albo gawędzili z krewnymi, którzy po nich przyjechali, albo też z niecierpliwością wpatrywali się w bramę szkoły, czekając na powóz, który miał ich zabrać do domu. Sherlock niechętnie obrócił się na pięcie, by przekonać się, czy złośliwy palec losu wskazuje na niego.

Tak było. Rzeczony palec należał w tym przypadku do pana Tulleya, łacinnika. Podszedł on właśnie do narożnika budynku, gdzie nieco z dala od pozostałych chłopców stał Sherlock. Surdut nauczyciela, zwykle pobrudzony kredowym pyłem, został specjalnie oczyszczony na okazję zakończenia semestru i nieuchronnych spotkań z ojcami, którzy płacili za naukę swych synów, a biret tkwił na jego głowie tak prosto, jakby przytwierdził go tam osobiście sam dyrektor.

– Ja, panie profesorze?

– Tak, ty! – warknął pedagog. – Ruszaj do gabinetu dyrektora *quam celerrime*. Czy zostało ci w głowie dość łaciny, by zrozumieć, co to znaczy?

– To znaczy „natychmiast”, panie profesorze.

– Zatem pośpiesz się.

Sherlock zerknął ku bramie szkoły.

– Ale panie profesorze, czekam na ojca, który ma mnie odebrać.

– Z pewnością nie odjedzie bez ciebie, chłopcze.

Sherlock podjął jeszcze jedną beczelną próbę.

– Mój bagaż...

Pan Tulley zerknął pogardliwie na zniszczony drewniany kufer Sherlocka – pamiątkę po wojskowych podróżach ojca – pełen zastarzałych plam i nadgryziony zębem czasu.

– Nie sądzę, by ktokolwiek chciał go ukraść – powiedział – chyba że ze względu na wartość zabytkową. Poproszę woźnego, by go dopilnował. A teraz ruszaj.

Sherlock z wahaniem zostawił swój dobytek – zapasowe koszule i bieliznę, tomiki poezji i kajety, w których zwykł notować swoje pomysły, przemyślenia, rozważania i melodie, jakie czasem przychodziły mu do głowy – po czym poszedł ku otoczonemu kolumnami wejściu do budynku szkoły. Przepychając się przez tłum uczniów, ich rodziców i rodzeństwa, zarazem nieustannie zerkał ku bramie, gdzie tłoczyły się konne powozy próbujące przejechać przez nią wszystkie naraz.

Główny hall wejściowy zdobiła dębowa boazeria i ustawione półkolem marmurowe popiersia poprzednich dyrektorów i patronów, każde na osobnym postu-mencie. Snopy światła padały ukośnie z wysokich okien na czarno-białe płytki podłogi, rozświetlając wirujące drobinki kredowego pyłu. Ścisł panujący w hallu rodził niebezpieczeństwo, że lada chwila jakieś popiersie zostanie strącone z postumentu. Na niektórych widniały duże

pęknięcia szpecące gładki marmur, co nasuwało wniosek, że przy każdym zakończeniu semestru co najmniej jedno z nich rozbijało się o podłogę i trzeba je było sklejać. Sherlock przemykał się między ludźmi, którzy nie zwracali na niego uwagi, aż w końcu udało mu się wydostać z tłumu i wejść w korytarz wychodzący z hallu. Gabinet dyrektora mieścił się kilka jardów dalej. Zatrzymawszy się na progu, Sherlock wziął głęboki oddech, otrzepał klapy mundurka i zapukał.

– Wejść! – zahuczał głos niczym w teatrze.